

# SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 14, MAJ 2020



2020

KK

Drodzy Czytelnicy!

bardzo dziękujemy za wszystkie nadesłane prace do majowego numeru naszego czasopisma kulturalno-literackiego. Mamy nadzieję, że pomimo obecnej sytuacji panującej na świecie odnajdujecie czas i chęci na rozwijanie waszych pasji i zainteresowań. Jednakże nie zapominajcie o książkach, ponieważ to właśnie one pozwalają nam poznać świat lepiej i z różnych perspektyw o czym przypomina Adolf Dygasiński: *Jaki wpływ ma książka? Wprowadza u człowieka zmiany. Po przeczytaniu książki zaczynamy inaczej kochać, inaczej myśleć.*

W tym wydaniu możecie zapoznać się z dwoma utworami poetyckimi Marii Smorczewskiej: pierwszy z nich obrazuje nam nasze myśli podczas snu, natomiast drugi, uświadamia istotę pracy dziennikarza i obowiązków z nią związanych, szczególnie w obecnych czasach.

W dziale proza Kacper Łukowicz przedstawia historię pewnej tajemniczej klasy, inspirowaną prawdziwymi zdarzeniami z naszej szkoły. Warto również przeczytać opowiadanie Anny Kern, które przenosi Czytelnika w surrealistyczny świat zagubionego w nim nieszczęśliwie bohatera. Agata Maćkowska w swoim opowiadaniu udowadnia, że niektóre historie można odczytywać na wielu płaszczyznach, doszukując się w nich ukrytych symboli i znaczeń. Jeżeli poszukujecie historii, która poruszy wasze serce to serdecznie zachęcamy do zapoznania się z tekstem Espantajo.

W tym majowym numerze, w dziale Varia, Marta Banaś dzieli się swoimi refleksjami i wspomnieniami związanymi z nauką w chorzowskim Słowaku. Na koniec, Karolina Kisiel przedstawia tłumaczenie tekstu Miguela Angela Santamarina o poemacie epickim Adama Mickiewicza - *Panu Tadeuszu*.

Redakcja

Projekt okładki: Katarzyna Kleist

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Kacper Łukowicz

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Dziennikarze: Anna Kern, Agata Maćkowska, Maria Smorczewska, Tomasz Pyrcik,  
Radosław Mosór

# Spis treści

## Poezja

**Maria Smorczewska**

*Dzieci matki nocy* (str.5)

*Dziennikarz i dziennikarze* (str.7)

## Proza

**Kacper Łukowicz**

*Szescioletnie impresje* (str.10)

**Anna Kern**

*Ocean* (str.18)

**Agata Maćkowska**

*Presque mort mais pas encore* (str.19)

**Espantajo**

*Niebo Cwajki* (str.22)

## Varia

**Marta Banaś**

*6 lat w Słowaku* (str.28)

**Miguel Ángel Santamarina**

*Pan Tadeusz, krzyk narodu* (str.32)

tlumaczenie: Karolina Kisiel

# POEZJA

# Maria Smorczewska

## *Dzieci matki nocy*

Kwiatek już dawno płatki rozłożył  
I do wyścigu szykuje się koń  
Ciasne ulice zalewa powódź światła  
Na zmiętej kołdrze leży moja dłoń.

Tysiące oczu znów patrzą na świat  
Miejskiej latarni dogasa słaby blask  
Pierwsze „dzień dobry” i pierwsze przekleństwa  
Lecz we mnie ciągle żywy mroku czar.

A my,  
Dzieci matki nocy.  
My przegrani w wyścigu poranka.  
Nasze blade ciała, wyczerpane  
Maltretują dzikie myśli  
Nieprzytomne, niewyspane  
W duszną pościel zaplątane  
W szale.

Tak my przegrani w wyścigu o świt.

Wszyscy śpiący teraz już na nogach  
Každy mnie mija, jak mija się powietrze  
Skąd mogą wiedzieć, wpatrzeni prosto w światło  
Że to sam cień mój tak tańczy na wietrze.  
Bo kiedy wasze oddechy są równe  
Krew płynie wolno, powieki są zasnutę  
Tacy jak ja, choć wiem tylko o sobie  
Związani ciężkim świadomości łańcuchem.

A my,  
Dzieci matki nocy,  
My przegrani w wyścigu poranka,  
Nasze blade ciała, wyczerpane  
Maltretują dzikie myśli  
Nieprzytomne, niewyspane,  
W duszną pościel zaplątane  
W szale.

Tak my przegrani w wyścigu o świt.

Boli nas głowa, płaczą wszystkie kości  
Od cudzych marzeń w sypialniach duszny śwąd  
Ale nie dla nas spoczynek i cisza  
Przychodzi ranek, czołgamy się w kąt.

A my,  
Dzieci matki nocy,  
My przegrani w wyścigu poranka  
Nasze blade ciała, wyczerpane  
Maltretują dzikie myśli  
Nieprzytomne, niewyspane,  
W duszną pościel zaplątane  
W szale.

Tak my przegrani w wyścigu o świt.

Więc wzywam wszystkich, bo wiem że mnie słyszycie  
Wzywam morderców, Wzywam niewolników,  
Wzywam cierpiących, kłamliwych, niespokojnych  
Poniżonych, chorych, starców, rozwodników.

Bo choć za dnia jesteśmy sobie obcy  
Wszystko się zmienia, po zachodzie słońca  
Bracia i siostry wiecznie czujnych oczu  
Przyszło nam żyć, na wieki lecz bez słońca.

## ***Dziennikarz i dziennikarze***

Drodzy dziennikarze  
Nie pierwszy raz słów mi brakuje  
Chodź teraz nie gniewna frustracja  
Tylko smutek czuję...

Nie przyszło nam,  
Rąk naszych brudzić kałamarza wytworem,  
Stukot maszyn, szum prasy są obce,  
A jednak stoimy z pochylonym czołem...

Przysięgam zapamiętać,  
Rozważyć i przechować  
Wszystkie nauki wysnute z zaczytanych twarzy  
Naszą ostatnią skarbnicą, będzie moja głowa.

Kto pierwszy chwytą kilof I ostatni kładzie  
A czasem nawet „Trzy godziny ciszy” z kilofem  
przesypia  
W rękach tej królowej korona Edypa

Kto uważnie i z rozwagą „linijka po linijce”  
Z pozoru nieważne słowa  
W tak wspaniałe dzieła układa jej głowa

Ktoś, kto szuka odpowiedzi  
Tak wytrwale i niezmiennie  
Ktoś, kto widzi „słowa wszędzie”  
W tych spojrzeniach, ludzi pędzie...

Kto uśmiechem leczy rany  
Rozwesela bez litości „Spektakl” codziennych smutków  
Ceruje nicią radości

Choć kto jak wszyscy, nie wolny od „Skazy”  
To zawsze centymetr nad ziemią duszą lekką w wiecznej  
wolności macha wesoło z przeszłości

Kto ma zawsze w zanadrzu  
„Słów kilka”  
Ze zrozumieniem i cierpliwością

Wyciąga dłoń dobrych intencji  
Szlachetny w swojej prezencji

I kto słyszy najcichsze  
„Szepty”  
Kto z ptasich szczebiotów piszę menuety  
Zna wszystkie głosy w pełnej ludzi sali  
I zawsze do końca wierzy, choćby wszyscy się poddali

Drodzy dziennikarze,  
Bez was by mnie nie było  
Wiele marzeń by umarło  
Zdań się nie narodziło

Bez was będzie inaczej  
Nie trwajmy w kłamstwie końca  
Bo deszcz smutku też ma swój czas  
Chodź jest zapowiedzią słońca

Chodź nie jestem godnym zastępcą  
Zrobię co w mojej mocy  
Jako strażnik spisane dziedzictwa  
Istniejącego dzięki waszej pomocy

Żegnajcie i wspomnijcie,  
Raz, może parę razy  
Jak będziecie już w wielkim świecie  
Kto wie co się wydarzy?

Niech się wasze najskrytsze marzenie ziści  
Tylko pamiętajcie,  
Złotym piórem wciąż piszcie  
Na papierze myśli.

Dla niezastąpionej redakcji SŁOWAk(a): Marty Banaś,  
Kacpra Łukowicza, Anny Kern, Agaty Maćkowskiej,  
Tomasza Pyrcika, Radosława Mosóra, Karoliny Grzesik.

**Z zaszczycem i wdzięcznością,  
Marysia Smorczevska**



# PROZA

# Sześćcioletnie impresje.

*Inspirowane prawdziwymi wydarzeniami.*

**Kacper Lukowicz**

Rok pierwszy.

Dwudzieścioro siedmioro uczniów klasy IGDA siedzi przed drzwiami sali, w której w podobnym gronie będą spotykać się przez najbliższe sześć lat. Wszyscy są zestresowani, wpatrzeni w ziemię, niepewni. Tworzy się kilka drobnych *popodstawówkowych* grupiek, ale to nic wielkiego, bo psychiczny dyskomfort jest zbyt duży na to, aby ignorować tych samotnych.

Dwóch chłopaków próbuje rozładować atmosferę niekończącymi się, (oczywiście bardzo zabawnymi) żartami. Słysząc nerwowe śmiechy.

Wreszcie przychodzi wychowawczyni, otwiera drzwi i zaprasza wszystkich do sali matematycznej. Uczniowie zajmują miejsca, Pani się przedstawia, po czym wyczytuje listę obecności.

W głowach trzynastolatków jeszcze większa niepewność.

„Co jeśli kogoś z nas nie ma na liście?” – myślą. „Może jednak nie w takim składzie będziemy widywać się przez najbliższe lata?”

W końcu wszyscy oddychają z ulgą. Każdy jest na swoim miejscu.

Wychodzą z sali i udają się do przydrożnej sokarni. Takie wyjścia stają się (krótkotrwałą) rutyną. Czas jednak płynie zbyt szybko, bo uczniowie już zabierają się za jedzenie *Juliuszowego* tortu.

To zaprzysiężenie klas pierwszych. Po raz pierwszy

śpiewając *Testament mój*, dwadzieścia siedem zwykłych osób, staje się uczniami Słowaka. Chwilę wcześniej wybrali przewodniczącego. To dziwne, bo został nim najniższy chłopak w klasie. Jest dwóch niskich blondynów – Instrumentalista i Rysownik. Ten drugi właśnie robi propozycję na pierwszy Rajd Słowaka, w którym klasa bierze udział. Przygotowują się tak bardzo, że dzień przed wyprawą, spotykają się na próbie, która kończy się pierwszą wielką kłótnią.

Krecik z kilofem stoi już na szczycie góry. Dyrektor mówi przez mikrofon, że jedna z uczennic ma urodziny, więc cała szkoła śpiewa jej *sto lat*. Radość nie trwa długo. Rajdowe konkurencje przerażają się w bratobójczą walkę o zwycięstwo, tylko po to, by o wszystkim zdecydował łut szczęścia, którego uczniowie tym razem nie mają.

Załamana klasa wraca do domów, a w końcu trafia na klasową wigilię. Pani Wychowawczyni wyciąga słoik i rozdaje wszystkim żółte karteczki, na których każdy zapisuje jakąś myśl, albo życzenie. Jeden uczeń nawet skrupulatnie oblicza datę dnia, w którym je odczytają. Inny zapisuje na tej żółtej karteczce proste słowa, które powstały gdzieś w głębi jego serca.

„Chcę, żeby to trwało wiecznie”.

Wszystko nagrywa pani Reżyser, która przez kilka najbliższych lat tworzy wideorelacje z klasowych wojaży. Wreszcie Wychowawczyni zbiera karteczki, zakręca słoik i chowa go do szuflady biurka. Wyciąga z niej zgody na wycieczkę. Rodzice uczniów podpisują je, a oni trafiają na Rysiankę.

Wspinają się pod górę i rzucają śnieżkami. Ich bagaże jadą na szczyt ratrakiem. Dniami zjeżdżają na nartach, wieczorami zacieśniają przyjaźnie, grając w światowy konflikt, czarne historie, mafię, prowadząc szczerze rozmowy, słuchając muzycznych składanek i (o dziwo!) blokując sobie nawzajem telefony. Wybuchają pierwsze skandale, następują pierwsze zwierzenia, tworzą się grupy. Nikomu to chyba jednak nie przeszkadza. Każdy w końcu znajduje miejsce dla siebie.

Ich pierwszy rok kończy się premierą pierwszego klasowego filmu, w którym to uczniowie zagrali i sparodiowali swoich nauczycieli. Nazwali go „Pięćdziesiąt twarzy nauczycieli”

„Śmieszne” – myślą. Jak te pseudoerotyczne filmy! Będzie kontrowersyjnie.

Wszyscy są zachwyceni. Owacje na stojąco. Żadnego skandalu, bo w końcu grono pedagogiczne ma poczucie humoru. Wszyscy są również zdania, że klasa IGDA, może i jest kontrowersyjna i kłótniwa, ale przynajmniej jest na swój sposób wyjątkowa.

#### Rok drugi.

Teraz są trochę starsi. Zaczynają dojrzywać. To już nie są dzieciaki z podstawówki. Teraz to pełnoprawne gimbusy. Znowu się kłócą i znowu o rajd. Proporzec, (tym razem w formie makiety czerwonego samochodu) nie wygląda tak, jak wyglądać powinien. Do akcji wkracza jednak plastyczny oddział sił specjalnych, który zanoszą wytrzymałą replikę na metę.

Kolejna porażka. To nic, bo IIGDA jest teraz w Skoczowie, na jednodniowej grze terenowej organizowanej przez ośrodek rekreacyjny w Kiczycach. Czas upływa na krążeniu po mieście, graniu w piłkarzyki

i bilardzie.

W międzyczasie uczniowie planują kontynuację zeszłorocznego filmowego hitu. Niestety niezdecydowanie sprawia, że historia o *Słowakowym mordercy zabijającym krzemowym nożem*, nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Czas oczywiście płynie dalej i teraz uczniowie znajdują się na kolejnym narciarskim wyjeździe, tym razem w Niedzicy. Spacerują po Krupówkach, tańczą na dyskotecce, łamią zasady.

Nasi gimnazjaliści mają już w końcu po czternaście i piętnaście (!) lat. Tak więc pod osłoną nocy opuszczają swoje pokoje, a za dnia rozpoczynają niefortunne miłosne podboje, a nawet i bójki. Po rozjeżdżeniu stoków i wykąpaniu się w gorących źródłach, uczniowie wracają do autokaru, który zawozi ich do Anglii.

Niemalże dwudziestoczterogodzinna podróż przez nieuchwytny czas, kończy się przyjazdem na farmę. Widzą krowy, konie i prysznice, które działają tylko za odpowiednią opłatą. Tam również spełniają się kulinarnie. Pizze, naleśniki, a nawet keczup na suficie. Przede wszystkim jednak, podróżują. Za rączkę, bo w końcu to ciągle gimbusiątka, ale podróżują. Ba, nawet zdają projekty gimnazjalne, które przygotowywali przez cały rok, a które to nawiędzwały ich w koszmarach. Są przeróżne, poczynając od zamku Bodiam, o który (a jakże!) wybuchła kłótnia, aż po, (bardzo swoją drogą malownicze miasteczko) – Rye.

Widzą więc Big Bena, zwiedzają muzea i kupują pamiątki. Jeden z uczniów, (ten sam, który obliczył datę wigilii, na której otwarty zostanie słoik) kupuje czterdzieści kilka komiksów, drugi jedenaście filmów i trzy sezony różnych seriali, a jeszcze inny

zaczyna kompletować swoją kolekcję *Dr. House'a*.

Czasem też jedzą na mieście, co prowadzi do powstawania legendy o najdroższych i przy okazji najlepszych burgerach, jakie zjedli w swoim życiu w burżujskiej londyńskiej sieciówce.

Przezorność nauczycieli, nie przeszkadza jednak uczniom w odłączeniu się od grupy. Podczas czasu wolnego, jeden z Blondynów - Instrumentalista, wraz z Gitarzystą udają się w podróż metrem, bo kilka przystanków wcześniej zobaczyli pieczone kurczaki w okazyjnej cenie.

Uczniowie wracają z powrotem na farmę i już siedzą w przedsiönku, czekając na powrót do domu. Ostatnią noc postanawiają spędzić na rozmowach, a burzące brzuchy napełniają smażoną na patelni, tłustą, najlepszą jaką w życiu jedli śląską kielbasą zjedzoną o godzinie 3:03.

#### Rok trzeci.

Piętnaście i szesnaście lat to już nie przelewki. Ten rok dla wielu jest naprawdę przełomowy. Przede wszystkim, (po kilku kłótniach), klasa IIIIGDA zdobywa wreszcie upragnione I miejsce na Rajdzie. Podróż na szczyt tym razem zakończyła się ulewą i przeniesieniem mety na (świeżoodrestaurowaną) salę gimnastyczną. Uczniowie stoją na scenie, składają tekturową górę (proporzec) zbudowaną na planie sześciokąta, (w końcu to klasa matematyczna!), śpiewają przygotowaną piosenkę i wreszcie wygrywają.

Chwilę później na tą samą scenę wchodzi Instrumentalista (tak! Ten niski blondyn, który był przewodniczącym klasy), który to teraz jest przewodniczącym szkoły. Rządzi zarówno tymi młodszymi, jak i nawet trzy lata starszymi.

Znowu wigilia. Wychowawczynie dopiero co chowała słoik z żółtymi karteczkami do swojej szuflady, a teraz już go wyciąga. Jest dokładnie ten dzień, który obliczył dwa lata temu jeden z uczniów. Większość przyznaje się do tego, co jest na kartkach. Motywacyjne teksty, głupie, niezrozumiałe już żarty, a nawet pytania do samych siebie.

Kiedy jeden z uczniów czyta na głos to, co napisał cała klasa wpada w śmiech.

„Chcę, żeby to trwało wiecznie”

Mówią, że głupi, że trwa, że coś się skończy a coś innego zacznie. Poza tym jeszcze trzy lata się będą widzieć, bo raczej nikt się stąd nie wybiera, prawda?

Po posprzątaniu klasy uczniowie trafiają do autokaru, który zawozi ich do Kluszkowców. Kolejny obóz narciarski. Ostatni w takim składzie. Trzeba nadmienić, że teraz uczniowie mają od piętnastu do szesnastu lat, więc teraz miłosne skandale wybuchają jeszcze częściej. Prawie tak często, jak łamanie regulaminu wycieczki.

Ten jednak łamany jest chyba trochę częściej chwilę później. W Hiszpanii, do której uczniowie jadą dwadzieścia kilka godzin, po drodze zatrzymując się nad włoską Gardą. Regulamin jest łamany jest tu jeszcze częściej. W końcu w szesnastoletnich umysłach, za granicą prawo działa trochę inaczej. Poza tym, w przeciwieństwie do wycieczki do Anglii, tutaj uczniowie nie są prowadzeni aż tak bardzo za rączkę.

Jednego dnia wybierają się w podróż na hiszpańskie pagórki. Tam zgrzani słońcem wędrowcy wymyślają szaloną fabułę filmu, który w przyszłości pragną stworzyć.

Metodyka pracy na wyjeździe również różni się od tej z Anglii. Tu najczęściej dostają zadanie – miejsce, które sami (oczywiście w zasięgu wzroku nauczycieli), muszą znaleźć i sfotografować, aby zdać sprawozdanie Iberyście – Nauczycielowi, który niedawno zachęcił sześcioro uczniów z tej klasy do napisania i wydania zbioru opowiadań zatytułowanego *Gang Czerwonego Kapturka*.

Z wydanymi książkami w rękach uczniowie siedzą na plaży w *Roses*. Jeden z nich bawi się ciepłym piaskiem. Ściska go w garści, przesypuje z ręki do ręki. Chce się nim przysypać.

„Ucieka mi przez palce” – myśli.

Ale nie ma co myśleć. Nie ma na to czasu, w końcu poza *Roses* trzeba zwiedzić Barcelonę, Tossę, a poza tym zdać projekty, na które czekają w swoich pokojach w niewyobrażalnym stresie.

Jedni nawet zabijają czas udając, że czekają na Iberystę, jak na księdza po kolędzie. W wolnych, wieczornych chwilach udają się jednak na relaksujące spacer, które najczęściej kończą się na tarasie dachowym. W międzyczasie jednak uczniowie myślą o tym, jak zwieńczyć te trzy lata w szkole i postanawiają wrócić do zarzuconego w zeszłym roku pomysłu.

W ten sposób powstaje *Ciemniejsza Strona Nauczycieli*. Film dużo krótszy od poprzedniego, ale przy tym nakręcony w jedynie jeden dzień (+dokrętki). Tu poza parodiowaniem nauczycieli, uczniowie wymyślili fabułę o narkotykowych dilerach wśród nauczycieli.

W międzyczasie, (w ramach nagrody za wygrany *Rajd*), jadą jeszcze do Warszawy, jednak ta wycieczka zapada w pamięć prawdopodobnie jedynie przez nieudolność i karykaturalność przewodniczki

z pewnego biura podróży, oraz hotel, który budzi skojarzenia z *Lśnieniem* Kubricka.

Premiera klasowego filmu ma jednak miejsce na komersie, (o który również wybuchła kłótnia, ale tym razem międzyklasowa). Tam jedni tańczą, drudzy siedzą, ale przede wszystkim są razem. Cieszą się swoim towarzystwem, a kiedy o północy muszą się rozstać, wpadają sobie w objęcia i żegnają się przed wakacjami.

#### Rok czwarty.

Z dwadzieściorga siedmiorga uczniów, którzy siedzieli przed salą z matematyki trzy lata temu zostały się dwadzieścia cztery osoby. Jedna uczennica opuściła szkołę na dobre i przeniosła się do Katowic. Inna zmieniła klasę, podobnie jak trzeci nieobecny. Grono klasy IA poszerza się jednak o dwóch chłopaków i jedenaście dziewczyn, co daje trzydzieści siedem osób + oczywiście trzydziesta ósma – pani Wychowawczyni.

Po przegranym *Rajdzie*, na którym to zarówno po drodze na szczyt, jak i w autokarze na nowo zacieśniają się przyjacielskie więzi, dwie uczennice przenoszą się do Smolenia. Legenda głosi, że to dlatego, że jedna z nich na chodzenie po ubłoconych górach ubrała białe adidas, które odsłaniały jej kostki.

Gdy wracają, *Instrumentalista* musi ustąpić z urzędu na rzecz... drugiego Blondyna! Teraz to *Rysownik* rządzi Szkołą, (oczywiście po długiej walce z oponentami na debacie).

W międzyczasie Uczniowie muszą zaznajomić się z nowym środowiskiem. Jest im bardzo miło, gdy jedna z nowych uczennic, stwierdza, że w jej gimnazjum takie cywilizowane dyskusje, jak na ich lekcjach nigdy nie mogłyby mieć miejsca.

Są bardzo takim stwierdzeniem zaskoczeni, zwłaszcza zważywszy na długą historię klasowych klótni. Uczniowie czują się również uzupełniani przez swoich nowych przyjaciół. Nie tylko w momencie, gdy ktoś ma problem z zadaniem z matematyki, a osoba siedząca przed nią, skrupulatnie tłumaczy, co należy zrobić, aby uzyskać upragniony wynik. Również w trakcie wspólnych podróży tramwajem, czy autobusem, gdzie stopniowo się poznają, zwłaszcza gdy w stronę domu jeździło się samemu.

Te znajomości najpierw przypieczętowane są na wigilii, (na której pojawia się nawet Święty Mikołaj!), gdzie powtórzony zostaje rytuał z karteczkami i słoikiem, a następnie znowu na Rysiance.

Chwilę przed wyjazdem, założona zostaje Redakcja szkolnej gazetki, którą dzielnie dowodzi Pani Redaktor.

Tam w przerwach od zjeżdżania ze stoku i jedzenia pełnych kminku posiłków, uczniowie ponownie zacieśniają więzi przy dźwiękach gitary oraz notorycznym łamaniu zasad. Odwiedzają się w pokojach, siadają na łózkach i rozmawiają. Tam też zastanawiają się nad tym, jakie wybrać specjalizacje. Wydaje się, że jest to nieodwracalna i przerażająca decyzja, od której nie ma odwrotu.

W stu procentach, więzi zostają jednak zacieśnione w Zamrzenicy. W ośrodku, w którym uczniowie wybierają się na kajakowy spływ, strzelają z łuku i wiatrówki, a nawet przechodzą przez tor przeszkód. Wspólnie krążą po lesie, grają w gry planszowe, a niektórzy chłopcy, kradną nawet dziewczynom elementy garderoby.

W międzyczasie klasa rozwija się artystycznie. Grupa uczniów tworzy film z wymyślonej na hiszpa-

ńskim pagórku historii, przez co powstają *Jaki z Azerbejdżanu*. Poza filmem, powstaje drugi zbiór klasowych opowiadań, tym razem napisany przez ośmiu uczniów, a zatytułowany „(Nie do) opowiadania”. W tym każda z historii opowiadała o szeroko rozumianym domu.

Jeden z uczniów, w trakcie autokarowego powrotu z wycieczki spogląda na śpiące twarze swoich przyjaciół. Myśli sobie, że równie dobrze mógłby spisać historię swojej klasy. Chyba nie ma lepszej metafory domu.

### Rok piąty

Uczniowie stoją przed salą z matematyki. Śmieją się i rozmawiają. Jedna z uczennic jest nieobecna, a w jej miejscu pojawia się Amerykanin. Okazuje się, że Pani Reżyser wyjechała na wymianę do Meksyku, a do Polski w jej miejsce przyjechał ten amerykański Rudzielec. Poza nim, do klasy dołącza jeszcze jedna uczennica, sprawiając tym samym, że uczniów jest trzydzieścioro sześcioro.

Teraz nie widzą się tak często jak kiedyś. Zostają podzieleni, ponieważ ich plany lekcji nie są ze sobą spójne. Kiedy jedni mają biologię, inni mają historię. Od tego momentu, ich wspólne ścieżki zaczynają się rozgałęziać.

W obawie przed utratą ważnych specjalizacyjnych godzin, wielu uczniów nie decyduje się na zorganizowany przez Polonistę wyjazd na Ukrainę, (czego niektórzy będą żałować, gdy zastanowią się jak wiele faktycznie dało im te kilka godzin). Na wschodzie jednak, w przeciągu kilku dni uczniowie śpiewają hymn szkoły prawdopodobnie więcej razy niż zaśpiewali przez całe życie. Mimo tego, że jego słowa zawsze wiążą ze wzruszeniem i podniosłością, dopiero teraz zauważają, że naprawdę są w stanie śpiewać go na okrągło, a nie nuży ani razu.



Zupełnie jakby wpisał się w ich życiową rutynę.

Oczywiście uczniowie niezmiennie dorastają. Wkraczają w dorosłość, zmieniają kolory włosów, (bynajmniej nie na siwe), a kilku mówi nawet swoim ukraińskim opiekunom, że są z klasy maturalnej! Po takiej deklaracji, nietrudno jest im wychodzić w dłuższe polne wycieczki, które prowadzą do tak kuriozalnych sytuacji jak bycie gonionym przez ukraińskie krowy.

Uczniowie przeskakują od jednego kościoła do drugiego, gdy tylko się obracają zmieniają cmentarze i miasta, które odwiedzają. Widzą Lwów, po obróceniu się - Tarnopol, po kolejnym – Kamieniec Podolski, po jeszcze następnym, (a także przegryzieniu Lwowskiej krówki) trafiają na imprezę.

W końcu to rok osiemnastek. Balują po różnych miastach i dzielnicach Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Od Piekar Śląskich, po Katowice, Chorzów, czy Rudę Śląską. Dojeżdżają na miejsce grupkami, komunikacją miejską, podpinają się pod rodzinne wyprawy, a nawet niektórzy trafiają tam rowerami.

Na takich imprezach tańczą, piją, palą, jedzą, robią ikoniczne zdjęcia i mrużą oczy. Popelniają pierwsze błędy, niektórzy już postanawiają zostać abstynentami, a jeszcze inni już postanawiają rzucić palenie.

W końcu palącym trudniej jest jeździć na nartach. A wyjazd narciarski to jak zwykle stały element szkolnego kalendarza. Tu tym razem znowu Kłuszkowce. Niektórych uczniów bardzo dziwi widok zabandażowanego kolegi, który chodzi po lesie w powojennym płaszczu z orłem bez korony na guziku. Nie wiedzą, że to charakteryzacja do kontynuacji *Jaków – Rosomaków z Kirgistanu*.

Drugiej A, nie byłoby jednak bez kłótni. Między imprezami, zdanie dotyczące klasowej wycieczki, o której wspomina się od jakiegoś czasu są bardzo podzielone. Pomysł wyjazdu do Tresnej zostaje jednak zarzucony, gdy nie udaje się skompletować odpowiedniego procenta uczestników. Ten moment przez wielu uznawany jest za najczarniejszą kartę w historii klasy.

Oczywiście wszystko płynie dalej, a wkraczanie w dorosłość przejawia się nie tylko wspólnym imprezowaniem, ale i zdawaniem egzaminów na prawo jazdy. Po udanym wypadzie na miasto, kilku uczniów nie ma pojęcia, jak szybko wrócić do domów. Dzwonią więc po przyjaciółkę, która akurat była w okolicy. Można powiedzieć, że jeżdżą po bardzo cienkim lodzie, ponieważ ma prawo jazdy dopiero od niedawna, a oni bez przerwy rozpraszają ją po drodze, puszczają muzykę na cały regulator, a nawet trzęsą fotelami.

Jeden z uczniów kurczowo trzyma się drzwi. Jest przerażony, jednak widzi, że przyjaciółka zachowuje zimną krew. W końcu nie dopuści do tego, aby jej znajomym stało się coś złego, zwłaszcza że odwozi ich centralnie pod drzwi ich domów. Myśli sobie, że to chyba to świadczy o dojrzałości.

#### Rok szósty.

Ostatni rok – maturalny, w świadomości uczniów zaczyna się w Hiszpanii. Tam, gdzie w większości już byli, jednak oczywiście w okrojonym składzie. Rudzielca tu jednak nie ma. On wrócił do Stanów, a Pani Reżyser została w klasie niżej. Nie przeszkadza jej to jednak w udziale w wyjeździe. To daje trzydzieści pięć osób (+Pani Reżyser +Wychowawcy). Na wycieczkę jadą wszyscy, poza dwoma uczennicami, które postanawiają uczyć się na egzaminie, które mają pozwolić im dostać się na wymarzone studia.

Wyjazd jest praktycznie bliźniaczy do poprzedniego poza faktem, że tym razem uczniowie są już pełnoletni i puszczeni samopas chyba jeszcze bardziej niż ostatnio (Tak! Nauczyciele oczywiście nadal są w zasięgu wzroku!). Nie przeszkadza im to we wspólnym poznawaniu hiszpańskiej kuchni oraz kultury, zwiedzaniu muzeum Dalego, czy ponownych spacerach i długich rozmowach na dachu.

Tu również powstaje scena ogromnej strzelaniny, która jest punktem kulminacyjnym finału trylogii *Zwierząt z Państw – Jenotów z Turkmenistanu*.

Dwupiętrowy autokar, którym dojechali na Półwysp Iberyjski, po chwili zamienia się w zwykły, jednopiętrowy, jego kierowca okazuje się być tym samym, który zawiózł uczniów na Ukrainę, a Iberysta przestaje być Iberystą, a zamienia się w Polonistę.

Uczniowie nazywają wyjazd do Kazimierza nad Wisłą „MikroUkrainą”, ponieważ odczucia są przynajmniej równie pozytywne co tam, jednak zwiedzanie odbywa się na mniejszą skalę. Poza tym połączone jest z syntezami wiadomości maturalnych, co pomimo tego, że nie może budzić pozytywnych skojarzeń, okazuje się być bardzo przyjemne.

Poza jedzeniem w żydowskich restauracjach, uczniowie zwiedzają kościoły i miasteczka, a także udają się w spacer pod osłoną nocy. Tam wpatrują się w gwiazdy, które świecą dużo jaśniej niż w mieście.

Zapatrzeni w przepiękne niebo, mało kto orientuje się, że to przecież ostatnia klasowa wycieczka. Nie będzie już wspólnych zabaw, gier, długich, intymnych rozmów, ani zakłócania ciszy nocnej. Nie

będzie wspólnie napisanych książek, ani wspólnie nakręconych filmów.

Ostatnim wspólnym filmem stworzonym przez IIIA jest ich film studniówkowy, podtrzymujący gimnazjalną tradycję. Tym sposobem, na ostatniej klasowej wigilii prapremieruje *Nowe Oblicze Nauczycieli*, który jest metaopowieścią o tym, że to historie sprawiają, że zostaje się zapamiętanym. Poza tym, tutaj już nauczyciele grają samych siebie, co jest kluczową względem poprzednich części zmianą.

Jednak przed prapremierą Wychowawczyni otwiera magiczny słoik z żółtymi karteczkami. Niektórzy wzruszeni wpadają w płacz, inni znowu śmieją się z wypisanych tam głupot. Jeden z uczniów jednak chowa karteczkę w szufladzie swojego biurka, w której trzyma również kartkę z gimnazjum. Ot, pamiątka.

Uroczysta premiera filmu, ma jednak miejsce (a jakże!) na studniówce, o którą (kto by pomyślał?) również doszło do kłótni. Pierwotny plan zakładał imprezę w Teatrze Rozrywki, jednak świat nie był jeszcze gotowy na taką ekstrawagancję. Skończyło się więc w Piekarach Śląskich.

Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć, przesiedzeniu, czy przetańcowaniu nocy wszystko ma zmierzać ku końcowi. Sto dni do matury, więc teraz nauka, nauka, nauka. Im jednak bardziej termin się zbliża, tym bardziej szalone rzeczy mają miejsce.

Przez Internet uczniów dobiegają sprzeczne ze sobą głosy o jakimś Chińczyku, zjedzonym nietoperzu, rządowym spisku i wirusie. Kiedy odrywają oczy od telefonów, nauczyciele mówią, żeby pozabierali rzeczy ze swoich szafek, bo możliwe, że szkoła będzie dezynfekowana.



Rozanieleni, (bo w końcu repetytoria i sprawdziany odłożone zostają na czas nieokreślony) maturzyści opróżniają niebieskie szafki, a w końcu opuszczają szkołę, nie wiedząc, że właśnie mija ich ostatni dzień szkoły.

Obrabowani z pożegnania uczniowie rozpoczynają internetowe lekcje, gdzie za wszelką cenę próbują poprawić sobie humor, czy to wkładaniem na głowę różnych dziwnych przedmiotów, czy to za pomocą innych źródeł internetowej rozrywki.

W ich sercach tkwi ciągle niepokój, bo ich matura (o ironio!) równie odłożona została na czas nieokreślony.

Wreszcie siedząc w domach podczas kwarantanny, na ekranach telefonów i komputerów pojawia się Dyrektor. To Ostatni Dzwonek. Zakończenie roku, które przecież nie miało tak wyglądać. Wszyscy mieli wpaść sobie w objęcia, wspólnie płakać, trzymać się za ręce i odebrać świadectwa.

Teraz siedzą przed ekranami i płaczą. Nie tylko

dlatego, że kończy się pewien etap w życiu, ale i dlatego, że pozbawieni zostali bliskości swoich najlepszych przyjaciół. Siedzą przed nimi i wspominają wycieczki, wspólne intymne chwile i zabawne sytuacje, które pozostaną w ich wspomnieniach.

Jeden z uczniów nawet otwiera szufladę swojego biurka. Od zawsze trzyma w nim różne pamiątki. Jego uwagę przykuwa drobna, złożona na kilka części żółta karteczka.

„Chcę, żeby to trwało wiecznie”

W tym momencie uczeń zdaje sobie sprawę, że nic nie trwa wiecznie. Przeżył sześć lat z najbardziej wyjątkowymi ludźmi jakich w życiu spotkał.

Smuci go to, że nie przeżyje kolejnych takich lat.

Pociesza jednak to, że nikt nie odbierze mu chwil, które przeżył.



# *Ocean*

*Anna Kern*

Ocean Pacyficzny przepłynąłem kajakiem, ponieważ pomyliłem drogi. Zamiast przy Helu skręcić w lewo, skręciłem w prawo, uderzając głową o wielki zbiornik wodny, którego wcześniej jakoś nie dostrzegłem. Zemdlałem na chwilę, a przynajmniej tak myślałem, bo jak już wspomniałem, obudziłem się gdzieś na Pacyfiku. Pewnie żona strasznie się niepokoi, tyle czasu już mnie nie ma i nie daje oznak życia.

No niech będzie - nie martwi się. A to dlatego, że trzy lata temu niechcący zadłgałem ją nożem do masła. To już nie moja wina, że na Halloween postanowiła przebrać się za kostkę margaryny, a ja byłem po usuwaniu ósemek. Nie ma się czego obawiać, zwłoki zakopałem i żyłem dalej.

Wracając jednak do ważniejszej historii, nadal jestem na tym oceanie. Jakoś nie spieszo mi do domu z racji tego, że czeka mnie tam konfrontacja z wydziałem śledczym i oddziałem szturmowym. Postanowiłem więc zdać się na ruch wody i nie wysilać, bez potrzeby wiosłując. Kiedyś i tak muszę gdzieś dopłynąć. Dryfować musiałem tak z ładny miesiąc, żywiąc się napotkanymi kormoranami.

Trzydziesty pierwszy dzień marca okazał się moim szczęśliwym, dokładnie nie wiem jaki był dzień, ale ta data szczególnie zapadła mi w pamięci (wtedy zdarzył się incydent z nożem). Tego dnia miałem okazję odkupić moje winy. Ujrzałem ląd i starego himalaistę wymachującego do mnie. Stwierdziłem: „dobra zatrzymam się i pomogę biedakowi”. Wsiadłem na brzeg, a jako że kajak swoje już przeżył, niechcący zrobiłem w nim dziurę. Przywitałem się i na chwilę spojrzałem w inną stronę. Był to jeden z największych błędów jakie kiedykolwiek popełniłem. Dostałem od gościa z wiosła w tylną część mojej czaszki. Straciłem przy tym panowanie w nogach, upadając na piasek. Wstać już nie potrafiłem, za to widziałem jak starzec odpływa moim kajakiem. „Dobrze, że zrobiłem w nim dziurę”- pomyślałem. „Utonie pewnie na środku oceanu, dobrze mu tak”.

W sumie większy problem miałem jednak ja. Nie dość, że nie potrafiłem wstać i zostałem sam na jakieś wyspie, to drzewo bananowe było poza zasięgiem mojej ręki.

Nic tylko czekać, aż umrę z głodu, a moim ciałem zaczną pożywiać się kormorany. Oczywiście w ramach zemsty, gdy to ja konsumowałem ich pobratymców.

## *Presque mort mais pas encore*

*Agata Maćkowska*

Wieczorem dnia ósmego zakwitły kurzetki, co wzbudziło ogólną radość i oszołomienie.

- Ale jak to? - pytali - Teraz? Nie zbliżaliśmy się ostatnio do Wodospadu?

- Póki dostajemy wieści od Starożytnych, trzymamy się w stałej odległości od Wodospadu, lub (jeszcze lepiej) oddalamy się od niego – uspokajali pracownicy Panelu.

To zadowalało większość społeczeństwa, jednak, kiedy dnia piętnastego usłyszano takie samo pocieszenie, a oprócz kurzetek w Krainie nie zaszły żadne zmiany, obywatele zaczęli się buntować. Jednym z nich był Pikod, który miał postać niebieskiej, skrzydlatej żaby i pracował w samym sercu całego zamieszania – w Panelu. Jako prawa ręka Pana Tissu, przypieczonogo bochenka chleba, złośliwie nazywanego “Żółciolem” (co wzięło się od żółtych włosów i noszenia żółtego krawatu), miał dostęp do nie-publikowanych i najtajniejszych nagrań Staro-żytnych. Wiele razy odtwarzał kasety, dzięki którym wiedział, że wypiek pomimo najszerszych chęci nie poradzi sobie z narastającym chaosem. Wystarczy jeden przeciek i wszyscy dowiedzą się, jak beznadziejna jest sytuacja, a wtedy Kraina wpadnie w szpony Wodospadu.

\*\*\*

Siedemnastego dnia Pikod podjął decyzję - musiał porozmawiać z Monsieur Cadavre, bo tylko tak mógł przekonać go do wstrzymania opozycji i połączenia sił w celu oddalenia się od Wodospadu. W tym celu wyruszył na mokra-

dła, gdzie miał nadzieję znaleźć Razalę, wredną biedronkę, która specjalizowała się w manipulacji i perswazji.

- Hop hop? Wiem, że cię tu znajdę! - zawołał, trzęsąc się ze strachu.

Czuł, że jest obserwowany przez co najmniej 50 stworzeń ukrytych głęboko w zaroślach, a każde z nich miało na niego chrapkę i coraz to lepszy powód od poprzedniego, dlaczego żaba nie powinna już żyć.

Wtem usłyszał gwizd, długi, świszczący i przesywający, a zaraz po nim śmiech. Szczery śmiech nieszczerzej kobiety.

- Proszę proszę, kogo my tu mamy... prawdziwe świeżutkie żabie udka! Powinnam zacząć od lewego czy może od prawego?

- Nie, proszę, nie! Przychodzę z prośbą, oczywiście mam zapłatę, całą sakiewkę, tylko dla ciebie!

Biedronka zainteresowała się słysząc tą wiadomość.

- Mów no, czego chcesz, a może i dam ci dokończyć zdanie - prychnęła.

- Tak, więc... na pewno słyszałaś o niesprzyjającej sytuacji, o zbliżaniu się do Wodospadu i narastającej opozycji... Słyszałem nagrania od Starożytnych, jest bardzo źle, ale jeżeli połączymy siły, przetrwamy!

- Może słyszałam, może nie słyszałam. Na mokradłach nie mówi się za wiele, a ty już wyko-

rzystałeś dzienny limit słów.

- Czekaj! Cała sakiewka będzie twoja, jeśli tylko przekonasz Cadavre'a do zmiany planów. Dla dobra Krainy musimy się zjednoczyć, proszę. Po co wam opozycja, skoro za niedługo i tak nie będziemy mieli o co walczyć?

Biedronka walczyła sama z sobą. Nie chciała ulegać Pikodowi, ale nie chciała też odmawiać przyjęcia sakiewki, która wyglądała na ciężką.

- Wiesz, że nawet jak z nim porozmawiam, on i tak zrobi swoje? Jest otumaniony wizją buntu i stania na jego czele, w końcu to WAŻ! Nawet jeżeli nosi kapelusz i wspomaga się laską, to i tak wąż. Przebiegłe stworzenie, które wykiwa cię na każdy możliwy sposób, a pod koniec obróci całą sprawę przeciwko tobie.

- Razala, proszę. Jesteś taka sama jak on, dogadacie się na pewno.

- Hmm... Masz rację. Oprócz jednego: nie jesteśmy tacy sami. Ja jestem gorsza i mu to udowodnię - mówiąc to, biedronka wzięła sakiewkę z dłoni żaby i pognąła do Elektrowni, gdzie przebywał Monsieur Cadavre.

\*\*\*

W siedzibie Monsieura Cadavre'a panował straszliwy hałas, toteż Razala nie usłyszała, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi. Dopiero za godzinę będzie mogła się wydostać, przy najbliższej Sekwencji.

- Witaj Razelo, szukasz czegoś? - rozległ się półgłos, pół syk.

- Tak - odparła stanowczo biedronka - przychodzę z radą.

- Rada? Dla mnie? I to za darmo? Niebawem, mów prędko, bo czuję, że z wrażenia aż wylinieje!

Posłanka przewróciła oczami.

- Musisz zaprzestać wzniesienia buntu. Mam informacje z Panelu: jest źle, ale sytuacja nadal może zostać uratowana. Cały czas mamy kontakt ze Starożytnymi, to już jest dobra wiadomość. To, co robisz jest nielogiczne. Za kilka, kilkanaście dni nie będzie już o co walczyć. Musimy się zjednoczyć.

- Jakoś ci nie wierzę, ale chętnie przesłucham kasety z mantrami Starożytnych... Oczywiście nie opuszczę swojej Elektrowni. Wyślę z Tobą Paliontara, jest moją prawą ręką. Wróćcie tu za pięć dni. Każde słowo ma być wyrecytowane z pamięci i biada wam, jeżeli tak się nie stanie.

Z cienia wyłonił się trzymetrowy kangur z głową strusia.

- A oto i on! - zawołał uradowany Monsieur Cadavre - no już, zmykać, bo czas to pieniądz - dodał, potrząsając przy okazji sakiewką, która jeszcze przed chwilą należała do Razali.

- Co to ma znaczyć?! Czemu masz moją kabzę?! - oburzyła się biedronka

- Cóż... tobie też przyda się jakaś motywacja, żeby tu wrócić, prawda?

\*\*\*

Dwójka bohaterów wyruszyła w męczącą, skomplikowaną i pełną trudów podróż. W międzyczasie Razela dowiedziała się, że rodzina Paliontara jest bardzo uboga, przez co musi przymusowo pracować dla węża - "nie jest to takie złe, bo dostaję trzy posiłki dziennie, a w piątki nawet i deser". Kanguro - struś, jak się okazało, nie ma zbyt wielu perspektyw i nie czuje takiego pociągu do buntu jak jego szef.

Kiedy dotarli na miejsce, Pikod wykorzystał

swój chip i wprowadził ich do Panelu.

- Tu przetrzymywane są wszystkie nagrania. Odsłuchajcie je, jeżeli dzięki temu przekonacie Cadavre'a do zmiany zdania. Ja wracam do pracy - rzucił, po czym poszedł w swoją stronę.

Dwójka bohaterów spędziła całe trzy dni na odsłuchiwaniu kaset - zapamiętywali każde słowo, każde zdanie, każdą pauzę i wahanie w głosie Starożytnych. Ich treść zmieniała każdego z nich. Byli zrozpaczeni, sytuacja naprawdę była beznadziejna jednak pocieszało ich to, że w ogóle mieli czego słuchać. O wiele gorzej byłoby, gdyby Starożytni ich opuścili. W końcu gotowi byli do powrotu.

Po przejściu przez próg Fabryki padli na kolana przed ołtarzem - brudni, spragnieni i zmęczeni. Usłyszeli stukot laski, co oznaczało tylko jedno: ich spowiedź.

Monsieur Cadavre zajął miejsce na tronie.

- Jakieś, że tak się wyrażę, "niusy"? - zażartował, jednak nikomu nie było do śmiechu.

- Nie oddawaj mi tej sakiewki. Weź ją sobie. Jedyne, czego teraz chcę, to pomocy. Bez ciebie, bez Fabryki nie damy rady. Starożytni powoli tracą siłę. Po prostu...

- Skończ z tym – Paliontar po raz pierwszy zwrócił się do szefa tak bezpośrednio - skończ z buntem, to nie ma sensu. Po co ci władza, w świecie, który umiera?

- Umiera? - parsknął wąż - i jak śmiesz tak do mnie mówić, ty... ty... ty sługusie! Jak w ogóle nauczyłeś się sklejać dłuższe wypowiedzi od "tak", "nie" i "już się robi"? Przecież ty nie masz nawet własnego zdania!

- Po tym co usłyszałem już się ciebie nie lękam, bo prawdziwym wrogiem jest Wodospad!

- Koniec! Koniec! Jeżeli jakiś zlepek słów wywołał na tobie takie wrażenie, to chętnie go posłucham - uśmiechnął się Cadavre. Jeszcze nie wiedział co go czeka ani jak się zachowa słysząc to.

Biedronka i kanguro - struś spojrzeli po sobie. W końcu Razela przełknęła ślinę i zabrała głos:

- "Otwórz oczy, złap mnie za rękę, nie opuszczaj mnie" - zacytowała - "pomyśl o dzieciach, przypomnij sobie, że masz dla kogo żyć"

Wprowadziła tym każdego w osłupienie, nawet złośliwego właściciela Fabryki, ale nie zamierzała przestać i mówiła dalej: - "czuję się tak samotnie bez ciebie, nie potrafię przeżyć jednego dnia bez płaczu".

Wtedy w Cadavrze coś pękło. Jego oczy wypełniły się łzami i pomimo ogromnych starań, nie potrafił się powstrzymać - jedna z łez spadła na podłogę. Rozległo się piknięcie i wszyscy wstrzymali oddech.

Pacjent otworzył oczy.

### **Słowniczek:**

Starożytni - rodzina pacjenta

Wodospad - śmierć

Elektrownia – serce

Sekwencja – uderzenia serca

Panel - mózg

Cadavre po francusku znaczy "trup", dlatego

Wąż symbolizuje chęć do śmierci pacjenta

Tytuł - "Prawie martwy, ale jeszcze nie"

# Niebo Cwajki

*Espantajo*

Dawid ma niewielkie pojęcie o życiu, ma za to osiem lat. W kwestii wiedzy życiowej przez kolejne osiem lat zmieni się niewiele. Będzie -tylko osiem lat starszy, będą w nim szaleć hormony i namiętności, ale on nie będzie o tym wiedział. Będzie żył, chwilami będzie się tym życiem cieszył. Teraz Dawid żyje i się nie cieszy. Wraca ze szkoły poirytowany niesprawiedliwością dziejową, ale tego też nie wie. Po prostu denerwują go koledzy.

Wchodzi do starej kamienicy przy Katowickiej. Parter, pierwsze drzwi po prawej. Za nimi spotyka Wacka. Mówi do niego „wujek”, chociaż nie są spokrewnieni. Wujek to przyjaciel rodziny, człowiek zaufany, człowiek od pomocy, człowiek od wszystkiego: “taki, co krawaty wiąże i usuwa ciążę”.

Młody podchodzi do zaufanego i zaczyna się żalić, że dzieci w szkole na niego brzydko mówią.

W. pyta, jak to? Jak mówią? No na chu i na ciu. Brzydkie te dzieci, konstatuje wujek W. i wraca do rozmowy z matką Dawida, Katarzyną.

Kaśka nie ma nic z carycy, nie ma też nic z królowej, ani księżniczki, mimo że chciałaby bardzo. Nie wie jeszcze i dowie się za lat osiem z haczykiem niewielkim, że jej syn spłodził wnuka. Zrobił to przy pomocy waginy i jajeczka mającej teraz lat dziewięć Bianki. Nie bardzo przejmie to K., bo ona rodziła Dawida przed osiemnastymi urodzinami. Gdyby w rodzinie były jakieś tradycje, można by to rodzenie wczesne do nich zaliczyć, ale wtedy trzeba by też wspominać o tendencjach alkoholowych męskiej części klanu, a to nie powód do dumy. Do wstydu też nie, ale po co? W tę tradycję wpisze się

też sześćoletnia Patrycja i dwuletnia Andżelika.

Patrycja nie wie jeszcze, a dowie się za lat niespełna dwanaście, kiedy będzie nosić pod sercem dziecko zagorzałego kibica chorzowskiego klubu sportowego, że ojciec jej córki przed narodzinami potomstwa trafi do więzienia. No błahostka jakaś. Za kibicowanie na Pomorzu i to żarliwe kibicowanie, jak modlitwy żarliwe ojca Tadeusza w eterze, i pobicie kibiców meksykańskich. No bo bambusy przyjechać musiały, jakby na dupie siedzieć nie mogły i wpieprzać jakiejś tortilli, innej fasoli czy co tam żrą. Patrycja wcześniej wykaże się tendencją do obdarowywania uczuciami i czułościami lokalnych knajaków. Tak, ona na pewno nie stanie się mizoandryczką – ta postawa będzie na przeciwnym biegunie jej świata. Te pasje i namiętności unie możliwią jej ukończenie gimnazjum.

Kaśka nie ma nic z carycy, ma za to męża. Wiesław. Wiesiek. Górnik. Ojciec trójki. Zwyczaje górnicze zobowiązują. Po szychcie razym na piwo, do szynku. Drugie, trzecie, czwarte... tak ogólnie to dobry chop, ino pije. Krzysiek najwięcej pije w dniu wypłaty. Pecha miewa albo ma. Kiedy leży w objęciach pijanego Morfeusza pod kamienicą na Kalidego, ktoś wyciąga mu z taśki pozostałości wypłaty. Kaśka nie jest księżniczką, nie pracuje. Żyją z wypłaty Wieśka. W tym miesiącu nie będzie życia. Życie Kaśki i jej dzieci zostało wypite i wyciągnięte z czarnej, ubrudzonej chodnikową breją torby męża. Ktoś je zabrał. Nie-caryca nie wie, jak to wytłumaczyć trójce.

Najmniej tłumaczenia wymaga najspokojniejsza



Andżelika. Ten spokój przyda się jej za lat dziesięć, już w innej kamienicy, ale ciągle w pobliżu Katowickiej. Dokładnie tysiąc sześćset pięćdziesiąt metrów w stronę Katowic; i te dziesięć lat, i tysiąc sześćset pięćdziesiąt metrów zakresli granice czasoprzestrzeni, która się załamie po otwarciu przez nią drzwi mieszkania na trzecim piętrze budynku przy ulicy Chopina, przecinającej się z Krzywą. Chopin: marsz pogrzebowy jakby napisał właśnie na tę okazję, tamtą okazję za lat dziesięć.

Intrygują te zbiegi okoliczności i ulic nazwy. Krzywa. Nie ma w przyrodzie nic prostego. To i ulica taka, jak niektórzy jej mieszkańcy. Poznałem jednego, kiedy wyciągał mi radio z samochodu. Okazało się, że szybszy jestem i silniejszy trochę. I ta moja przewaga kosztowała go dwa lata w domu poprawczym. Mnie kosztowała dwa rogaliki, które mi zeżarł i spociłem się trochę od biegania. Policjant przyjechał odebrać nieletniego rabusia i spisać to, co spisać było trzeba. Dobry policjant, kolega z liceum, skrzypek, artysta. Tworzenie literatury i muzyki nieco odstawił na rzecz pisania raportów i protokołów. Opanowany bardzo i spokojny. Sympatyczny. Wspomnieliśmy czasy licealne. Młody, co to jeszcze nie wiedział, że właśnie stracił dwa lata życia, taki spokojny nie był. Jego błagania i szloch odbijały się o szyby radiowozu. Dobrze nam się wspominało czasy licealne.

Na tej ulicy krzywego życia Dawid spotka właścicielkę jajeczka, które zapłodni jego super plemnik. Nie będzie to miało miejsca wiosną, choć to ten czas wydawałby się być najodpowiedniejszy na miłosne uniesienia. W tym wypadku uniesień nie było wiele. Skuteczne były. Nie dały radości Baśce: bolało, dobrze, że nie trwało długo. Dawid był w swoim raju. To był raj inny niż ten, do którego chodził jego ojciec, ale raj. Teraz chłopak będzie miał o czym opowiadać kolegom. Będzie się tym cieszył. Prze-

kona Baškę, żeby wykorzystać nieobecność jej matki jeszcze kilka razy. Dowie się prawie dwa miesiące po pierwszej wizycie w raju, że niedługo może być nieraj. Za nieco ponad siedem miesięcy będzie musiał zająć się swoją córką. On będzie ojcem. Nie ma jeszcze dowodu osobistego, ale już ma dziecko. Nie może kupić alkoholu na świętowanie narodzin, ale musi się zająć nowym człowiekiem. Nie wiedzą, że to będzie dziewczynka. Ładna, niebieskooka blondynka – Ewcia będą do niej wołać. Tego też nie wiedzą, bo za wcześnie, by wiedzieć mogli. Zanim się dowiedzą, Dawid stanie się bywalcem raju na Chopina.

Baška nie spodziewa się, że rok po sprowadzeniu na świat dziecka będzie musiała sobie radzić bez Dawida. Miłośnik przyziemnego raju będzie próbował zarobić. Nie spełni jego oczekiwań wypłata od majstra za układanie kostki brukowej: zbyt ciężka robota i żadne pieniądze. Koledzy pomogą. Koledzy mają znajomości. Duża kasa, ryzyko minimalne. Wystarczy sprzedać trochę proszku i pigulek. Będzie łatwa kasa, ryzyko minimalne... No nie bądź frajer, koleś.

Pojawiła się Ewcia (która nie była Ewą). Naciski rodziny doprowadziły młodych rodziców do Urzędu Stanu Cywilnego. Ślub prosty, formalność. Nocy poślubnej nie będzie. Sympatyczni byli panowie policjanci. Miło z ich strony, że pozwolili im powiedzieć „tak” przed urzędnikiem, nie przerwali ślubu. Po wyjściu z sali, pan młody dostał jeszcze dwie obrączki. Nie wrócili razem do domu. Nie odjechali tym samym samochodem. Niby jedno ciało, ale jakieś takie rozerwane, niespójne, obolałe od tego, co już było i od tego, co być jeszcze musi. Niemoc rozterki. Ewcia nie wie, co się stało, zrozumieć nie może, gdzie tatę zabrali, przecież całe jej życie był. Dlaczego go teraz nie ma...

Kaśka w towarzystwie ojca trójki żali się wujkowi W., na pana domu. Godo. Chopy słuchają. Ona przestać nie może, choć oni by już chcieli. Jeden z powodu wyrzutów sumienia. Drugi z powodu tego, że i tak nic nie zrobi. Wiesiek rozumie Kaśkę. Wacek rozumie Wieśka. Kaśka nie rozumie nikogo. Nie ma na to czasu. Szuka ukradzionego życia. Przecież miała być księżniczką. Nie ma księcia. Ma trójkę, czwórkę dzieci do obrobienia. No i ten Wacek! Po co on tu, kiedy i tak nic nie zaradzi. Niech już idzie. Idzie już? Poszedł sobie.

Andżelika teraz jest spokojna, bardziej niż spokojna będzie tego wrześnieowego, tamtego wrześnieowego popołudnia za lat dziesięć. Jest spokojna, ale wierzga, wierci się, jakby ją ciało jej własne uwierało. A przecież nic innego być to nie może. Jeszcze matka może dać coś zjeść. Jeszcze wyrzutów i klótni rozumieć nie może. Rozumie pewnie płacz nie-księżniczki, ale ciszy ojca pojąć jeszcze nie potrafi. Ciszę ojca zrozumie za lat dziesięć.

Od tego słuchania i lamentu Wieśkowi wichrzą się w głowie myśli. Wichrzą się i wirują tym bardziej, że sam słuchać musi. Skazany na słuchanie samotne, zamyka się w łupinie orzecha i myśli. Nie zawsze dobre są to myśli. Koledzy w barze go zrozumieją i nie będzie musiał Kaśki słuchać. Koledzy postawią, poratują kamrata. Górnik z górnikiem podzieli się zawsze. Wystarczy przejść przez ulicę, skrócić w lewo, przy sklepie z meblami na wymiar wejść w Pudlerską. Już jest! Elizjum! Nie, to nie myśli Wieśka. Wiesiek nie myśli ani o Elizjum, ani o Nirwanie, bo nigdy o nich nie słyszał, bo to nader kabotyńskie, ale tego też nie wie. Raj lub niebo – to dla niego nazwa znana i dogodna. Niebo tuż za rogiem! W tym niebie jakoś niespokojnie dzisiaj. Rozważania o restrukturyzacji w górnictwie, o reformach, o zamykaniu kopalń. Nie podoba się

to straszenie redukcją zatrudnienia, nierenownością. Nie strasz, nie strasz, bo się... ktoś krzyczy w głębi knajpy. Niepopularny temat, bo z czego oni żyć będą i za co pić, jak im gruba zawrзом.

Kamraci zrozumieli i poratowali. Wieśka. Jeszcze nikt z nich nie wie, że kopalni nie uratują. Nie pomogą nawet opony palone na Wiejskiej, nie pomogą kety ani herców. Tylko zaszkożą.

Najbardziej jednemu z reporterów, który - postrzelony przez policjanta z broni gładko lufowej - stracił prawe oko, co zarejestruje kamera jego kolegi (reportera, nie policjanta). Teraz górnicza brać nawet o tym nie myśli. Na zdrowie!

Kaśka nie boi się pijanego męża, nie bije, nie krzyczy. Póki co, przynosi zazwyczaj jakieś pieniądze. Kiedy jest pijany, śmierdzi obrzydliwie kwaśnym brudem. Dziś jest tak samo, więc położy go w kuchni przy starym piecu do gotowania, żeby dzieci nie obudzić, żeby nie widziały.

Kaśka nie wie, że plotki krążące w okolicy o zamknięciu kopalni nie są tylko czczą gadaniną. Wiesiek też nie wie. Przecież ktoś węgiel kopać musi. Nie wie jeszcze, bo wiedzą tylko politycy i zarząd spółki, jak bardzo zmieni się życie kilku tysięcy górników i ich rodzin za paręnaście tygodni. Nikt nie wie, bo nawet sam Wiesiek nie wie, że zwolnią go nie w ramach restrukturyzacji, ale wcześniej. Pijany nie powinien przychodzić do pracy i zjeżdżać szolom pod ziemię. Wtedy Kaśka zacznie się bać.

Kolejnego dnia dochodzi do tragedii. Niebo tuż za rogiem spłonęło całe, nic nie zostało. Katastrofa. Jak to się stać mogło? – pytają żałobnicy, towarzysze niedoli. Zostało tylko okopcone wejście za-



bite deskami przez właściciela, który nie ubezpieczył lokalu. W okolicy żałoba, przecież na Stabika się wszyscy nie pomieszczą. Na 23.Czerwca za daleko. Świat się kończy.

Wieškowi spłonęło niebo. Nieba nie ma. Piekła też nie ma. Piekło nie istnieje. To, co mu zostało, to kawalerka na Katowickiej, żona i trójka dzieci. Wiesiek nie chce już więcej córek, ani synów. Kaśka też nie chce, ale za lat jedenaście nie będzie miała sumienia usuwać płodu, który po dziewięciu miesiącach picia soków matki otrzyma imię Jakub. Jakub nie będzie synem Krzyśka, bo Krzysiek już nie będzie mógł mieć ani synów, ani córek. Jego najmłodsza córka zrozumie to jako pierwsza.

Wiesiek musi znaleźć nowe niebo. Musi zrobić coś. Nie robi nic. Namiastkę nieba tworzy ze sznaps kolegami pod chlewikami za domem. Wraca do domu i śmierdzi kwaśnym brudem. Kaśka się boi. Chciałaby spokojnego życia. Złożyła wniosek do PGMu - dostanie nowe mieszkanie. Pomoc Społeczna da dofinansowanie do czynszu. Może Wiesiek dostanie pracę. Może się ułoży. Nie prosi o pomoc ojca, bo ten pomaga Wieškowi w opróżnianiu butelek.

Nowe mieszkanie jest na trzecim piętrze kamienicy przy ulicy Chopina, blisko centrum. Poprzedni lokator zostawił wkręcone w futrynę haki do huśtawki, będzie dla Andżeliki, a może i wnuki się kiedyś pojawią. Sąsiedzi dość mili i Dawidek zaprzyjaźnił się z córką sąsiadki z parteru – taka ułożona dziewczyna, i Patrycja ma nowych znajomych. Ona to woli z chłopakami posiedzieć, koleżanek nie ma. Mówi, że same szmaty. Andżelika koleżanek mieć nie chce, tylko z kuzynką czasami się spotka. Ona najbardziej lubi czas z mamą spędzać. Zamknięta trochę w sobie, najspokojniejsza ze wszystkich, najmniej problemów sprawia i nawet nie trzeba jej pilnować, żeby do szkoły miała wszystko

odrobione. Spokojniej tutaj trochę, tylko młodzież z Krzywej jakaś bardziej rozrywkowa, ale to nie przeszkadza. Przeszkadza jedynie Wiesiek, który od kilku lat nie potrafi utrzymać żadnej pracy i nie przestaje pić, i już nigdy nie przestanie, i nigdy nie znajdzie pracy.

Kaśka nie przestaje marzyć o tym, żeby truteń wyniósł się z domu. Może sama by się wyniosła. Może by kogoś zapoznała. Jej siostra zna przecież fajnych karlusów. Jest taki jeden, umięśniony, wyrzeźbiony, ubrany nieźle, niepijący prawie, pracujący. Pali tylko, ale poza tym to ideał. Spotka się z nim razy kilka i zadecyduje, bo zadecydować już wtedy będzie mogła. Kaśka za lat kilka przekona się, że ideałowi daleko do ideału. Wtedy będzie już prowadziła za rękę Jakuba, krzycząc na niego, bo taki niegrzeczny i nadpobudliwy, ale teraz wykracza to poza jej wyobraźnię i jest absolutnie sprzeczne z percepcją. Teraz wykrzyczy prawdę Wieškowi, to nieważne, że z okna na trzecim piętrze kamienicy wyleci telewizor, to teraz nie jest ważne. Kaśka jest przed czterdziestką, musi sobie życie ułożyć. Co tam telewizor, co tam Wiesiek.

Tego popołudnia, prawie dziesięć lat po skargach Dawida na kolegów wyzywających go od chu i od ciu, Kaśka boi się wracać do domu. Na zwiady wysłała Andżelikę, oczko w głowie Wieśka – jej nigdy nie uderzył, nigdy na nią nie krzyknął, ona nie boi się ojca. Przechodzi przez bramę kamienicy, wchodzi na podwórko. Podnosi głowę i widzi otwarte okno na trzecim piętrze. Na podwórku leżą porozrzucane kawałki telewizora. Otwiera drzwi do klatki schodowej, ciężkie, metalowe. Skrzypią okrutnie. Wchodzi na trzecie piętro. Jak zwykle jest spokojna. Za drzwiami nie słyhać nikogo. Cisza: wyszedł albo śpi. Przekręca klucz w zamku. Wchodzi do kuchni i dostrzega ojca w drzwiach do drugiego pokoju, w tych drzwiach, w których

poprzedni lokator był zostawił wkręcone haki do huśtawki. Ojciec pod jednym z tych haków, pod tym, na którym zawieszony pasek od spodni, a na tym pasku wisi ciało, które kiedyś jej ojcem

było. Tylko spokojniejsze to ciało teraz. Nie miała wiele okazji, żeby побыć sama z ojcem. Nie wezwie już pomocy. Chce побыć z ojcem. Teraz powie mu wszystko.



**VARIA**

## 6 lat w Słowaku

Marta Banaś

*Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;  
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny*

Decydując się na naukę w Dwujęzycznym Gimnazjum w Chorzowie, brałam pod uwagę, nie tylko wiele usłyszanych wcześniej opinii o wysokim poziomie nauczania, ale również możliwość ponownego spotkania się z przyjaciółmi, z którymi wcześniej uczęszczałam do tej samej szkoły podstawowej. Bałam się samotnej “przeprawy” przez ten nowy etap w moim życiu, a szansa nauki w tej szkole i spotkania na korytarzu dobrze znanych mi twarzy była pocieszająca. Jeszcze wtedy nie zastanawiałam się, co będzie po trzech latach gimnazjum - jak potoczą się moje losy, czy będę chciała kontynuować naukę w Słowaku. Czy będziemy na tyle zgraną klasą, że z chęcią spędzimy kolejne trzy lata razem?

W swoich rozważaniach, chciałbym przedstawić jak z mojej perspektywy wyglądały słowackie wyjazdy oraz skupić na wyjątkowych wspomnieniach, głęboko zakorzenionych w pamięci, dlatego też zapraszam Cię - Drogi Czytelniku - w niezapomnianą podróż po chorzowskim Słowaku, w którym sześć lat minęło jak jeden dzień.

*Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami,  
A jak gdyby tu szczęście było, idę smętny.*

Jedną z wielu tradycji naszej szkoły jest coroczny, pięciodniowy obóz narciarski. Początkowo każda klasa wybierała się na “Rysiankę”, czyli do schroniska górskiego, znajdującego się na jednym ze szczytów Beskidu Żywieckiego, gdzie każdy uczestnik miał szansę szlifować swoje narciarskie umie-

jętności i zasmakować życia w młodzieżowym schronisku. Był to mój pierwszy wyjazd z klasą i naprawdę głęboko zapadł mi w pamięć. Każdego dnia byłam świadkiem wielu sytuacji, kiedy to przysłowiowo płakaliśmy ze śmiechu i cieszyliśmy się swoim towarzystwem. Niewątpliwie była to szansa na lepsze poznanie się i nawiązanie długotrwałych przyjaźni.

*Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica  
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:*

W gimnazjum pierwszy raz wyjechałam za granicę. Naszym celem stała się tajemnicza i majestatyczna Anglia - ojczyzna Shakespeara, kraina wrzosowisk i śrdeniowiecznych zamków. Każdy uczestnik miał za zadanie wcześniej przygotować projekt w grupie na określony temat i przedstawić go reszcie klasy w wyznaczonym miejscu w Londynie, czy też innej odwiedzanej przez nas miejscowości. Muszę przyznać, że byłam bardzo nieśmiałą osobą, a wizja mówienia po angielsku była dla mnie i wielu innych przerażająca, lecz z każdym kolejnym dniem nabieraliśmy pewności siebie a język angielski w wykonaniu “wyspiarzy” odkrywał przed nami swe tajemnice.

Mieszkaliśmy w pokojach na farmie w hrabstwie Kent. Do teraz pamiętam mój mały pokoik, który dzieliłam z przyjaciółkami, a wspomnienie, wyjątkowo silnie zakorzenione w pamięci wiąże się z bochenkiem chleba! Pewnego (niestety deszczowego) dnia zrobiliśmy zakupy w pobliskim Tesco - kolacja zbliżała się wielkimi krokami, a my nie miałyśmy już nic do jedzenia. Świeże pieczywo było jednym z ważniejszych zakupionych przez nas produktów, a o dziwo zniknęło w czeluściach

malutkiego pomieszczenia, gdzie ledwo mieściło się pięć osób. Zagadka zaginionego bochenka, została rozwiązana dopiero w dniu wyjazdu, kiedy to sprzątałyśmy swoje pokoje po tygodniowym pobycie. Otóż nasz chleb cały czas znajdował się w siatce przewieszanej przez jedno z piętrowych łóżek, lecz wszystkie myślałyśmy, że znajdują się w niej ubrania któreś z lokatorek.

Muszę przyznać, że do dzisiaj nasuwają mi się różnorakie obrazy związane z przygotowaniem posiłków w naszej wspólnej kuchni, gdzie próbowaliśmy, raz lepiej a raz gorzej, tak zorganizować naszą pracę by wieczorem móc zjeść jakiś ciepły posiłek.

*Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,  
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.*

Gimnazjum zakończyłam wyjazdem na obóz językowy, który każdego roku organizuje nasz słowacki Iberysta. Cel? Półwysep Iberyjski - Hiszpania.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że chodziłam do klasy o profilu dwujęzycznym, więc oprócz nauki języka angielskiego, uczyłam się również na lekcje hiszpańskiego. Początki bywały trudne - do teraz pamiętam nasze cotygodniowe zajęcia, rozpoczynające się kartkówkami ze słownictwa, czy też różnorodnych struktur gramatycznych. Ale nie było wymówek!

Moja podróż do Hiszpanii była pewnego rodzaju testem językowym, który każdy uczestnik musiał zdać. Codziennie mieliśmy za zadanie realizować projekty, przydzielane przez nauczyciela, skupiające się głównie na rozmowach z "lokalsami" i zbieraniem materiałów do późniejszych prezentacji. Mieszkaliśmy w wynajętych apartamentach

w urokliwej miejscowości, Roses, gdzie góry spotykają się z morzem. Uważam, że jest to idealne miejsce dla miłośników długich wędrówek, pragnących wyjść na szlak z samego rana o wschodzie słońca, natomiast wielbicieli piaszczystych plaż, mają szansę odpocząć w zaciszu zatok, wypełnionych złotym piaskiem, z widokiem na krystaliczną wodę.

Niewątpliwie ten wyjazd pozwolił mi poznać bliżej kulturę hiszpańską i zwyczaje panujące na Półwyspie Iberyjskim. Dzięki kolacji zorganizowanej przez Profesora Straszaka, mogliśmy zasmakować specjałów kuchni śródziemnomorskiej. Niezaprzeczalnie był to jeden z tych wyjazdów, które wspomina się z dużym sentymentem.

*Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,  
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi*

Nawet nie zauważyłam, jak szybko minęły trzy lata nauki w chorzowskim Słowaku a ja zaczęłam coraz bardziej dostrzegać własne możliwości i szanse rozwoju, jakie stwarza ta szkoła. To właśnie wtedy wpadłam na pomysł stworzenia czasopisma literackiego, które byłoby idealną przestrzenią dla artystów, chcących podzielić się swoimi pracami, refleksjami, spostrzeżeniami. Do teraz udało nam się wspólnie z redakcją wydać czternaście wspaniałych, bogatych w treści numerów, z czego jestem niezmiernie dumna i szczęśliwa.

*Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,  
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.*

Mój kolejny etap edukacji, bez jakiegokolwiek zwahania, postanowiłam kontynuować w budynku przy ulicy Dąbrowskiego 36. W liceum nasza wyjątkowa klasa A powiększyła się, dzięki czemu mogliśmy na nowo tworzyć długotrwałe relacje. Niestety z powodu choroby, nie udało mi się



pojechać ponownie na Rysiankę, nad czym ogromnie ubolewałam - bardzo chciałam spędzić ten zimowy czas w gronie przyjaciół.

*Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu družbę  
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne*

Wraz z początkiem drugiej klasy liceum wzięłam udział w projekcie: dialog dwóch kultur. Wyjazdy na Ukrainę w Słowaku organizowane były już od wielu lat, jednakże dopiero wtedy udało mi się podjąć decyzję, która całkowicie zmieniła moje spojrzenie na Kresy Wschodnie.

Program wycieczki był niezwykle intensywny - przewidywał zwiedzanie między innymi Lwowa, o którym często mówi się, że to właśnie tam Wschód spotyka się z Zachodem, chocimskiej twierdzy, zaliczanej do "siedmiu cudów Ukrainy", a także urokliwego miasteczka - Kamieńca Podolskiego, które rozślawił Henryk Sienkiewicz w *Panu Wołodyjowskim*.

Jednak według mnie najwięcej emocji wzbudziło pięciodniowe zakwaterowanie u rodzin w Krzemieńcu, miejscu narodzin naszego patrona - to wśród rodzinnych mieszkańców Ukrainy mieliśmy poznawać zwyczaje, kulturę i specyfikę Wschodnich Kresów.

Jednym z najbardziej wzruszających momentów było wspólne odśpiewanie Testamentu Juliusza Słowackiego z uczniami ukraińskiej szkoły. Hymn wybrzmiał w języku polskim. Myślę, iż każdy z nas wtedy poczuł, że uczestniczy w prawdziwym dialogu młodych dwóch kultur. To, co nas zjednoczyło, to jakże ważne i uniwersalne przesłanie Juliusza Słowackiego - nie ważne skąd pochodzisz, ani dokąd zmierzasz, istotny jest Twój jedyny i niepowtarzalny ślad, jaki pozostawisz po sobie.

Mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że nadal przemierzasz wraz ze mną korytarze Słowaka. Powoli zbliżamy się do końca naszej wędrówki...

Po powrocie z Kresów zaczęłam inaczej patrzeć na świat. Dzięki goszczącej mnie tam rodzinie, nauczyłam się doceniać to co mam i dbać o szczere relacje z bliskimi mi osobami.

*Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę,  
I zgodziłem się tu mieć nieplakaną trumnę.*

Wraz z początkiem klasy maturalnej odbyły się moje dwa ostatnie wyjazdy. Ponownie, lecz tym razem w powiększonym składzie, pojechaliśmy do Roses. Będąc drugi raz w Hiszpanii, zwiedziliśmy dokładniej Barcelonę podążając szlakiem jednej z ważniejszych powieści Carlosa Luisa Zafona, *Cień Wiatru*. Poszukiwanie tych wszystkich miejsc, gdzie rozgrywa się akcja książki, było niesamowitym przeżyciem, które zapamiętam do końca życia.

*Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi  
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?*

Moje refleksje chciałabym zakończyć wspomnieniami z krótkiego polonistycznego wyjazdu, nazywanego w słowaku "syntezami maturalnymi". Celem naszej wycieczki była malownicza miejscowość, z bardzo bogatą historią, Kazimierz Dolny nad Wisłą. Udało nam się zwiedzić wiele pięknych muzeów i zabytków, lecz kwintesencją wyjazdu okazały się być wieczorne spacerunki pod osłoną gwiazd.

*Być sternikiem duchami napelnionej łodzi  
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?*

Niestety to już koniec naszej podróży. Każdy rok

spędzony w Słowaku był inny, lecz żadnego z nich nie żałuję. Z roku na rok śmielej i chętniej podejmowałam nowe wyzwania, brałam udział w projektach, czy konkursach. Cała klasa angażowała się w różnorakie inicjatywy, zawsze było coś “ciekawego” do zrobienia. Udało nam się napisać dwie niesamowite książki, których opowiadania niosą różne, ale jakże ważne przesłania.

Głęboko wierzę, że staniemy się “sternikami” naszych życiowych łodzi, szkoła dała nam wszystko to co trzeba posiadać by znaleźć właściwy kierunek w czasach tak burzliwych w jakich przyszło nam dorastać. Staliśmy się częścią Słowaka i niech ...*ta siła fatalna, która ...zjadaczy chleba w aniołów przerobi* odcisnie również i nas swoje piętno. To dobre piętno.

## ***Pan Tadeusz, krzyk narodu***

***Miguel Ángel Santamarina***

***Tłumaczenie: Karolina Kisiel***

Całą noc nie zmrużyłem oka. Kolacja obiecywała pomóc przetrwać ten czas i też to zrobiła. Bigos uwiódł mój węch i wzrok, ale zmaltretował mój żołądek. Zdecydowanie nie jestem tak krzepki i nieugięty jak Piłsudski. Podnoszę się, by pójść na siłownię wrocławskiego hotelu. Próbuję ćwiczyć na bieżni i na rowerku stacjonarnym, ale nie: nic z tego, moje jelita buntują się i skarżą z dzikością. Przypominam sobie Pedra Calderona de la Barkę, wspominam Maksa Estrellę. Źle Polsko gościsz przybysza!

Planuję śniadanie bez kielbasy. Przybliżyłam się do recepcji po krótkim przystanku w toalecie. Moja opanowana twarz i zmarniały wyraz nie przerażają recepcjonistki. Odebrały mi mowę jej różowe okulary z cienkimi, metalicznymi oprawkami, nieprzerwany uśmiech i wielka uprzejmość. Nie wiem, w jakiej kolejności. Pytam ją, co powinienem zobaczyć we Wrocławiu. Zostawia mi ulotkę z dziesięcioma głównymi atrakcjami miasta. Na czerwono zaznacza Muzeum „Pana Tadeusza”. Mówi mi, że to jej ulubione. Postanowiłem dać mu szansę. Opuszczam hotel. Odpalam telefon a w Google

wpisuję „Pan Tadeusz”. Nie zauważam, że na ziemi znajduje się metalowy krasnal i uderzam w niego dużym palcem stopy. Najbardziej cierpi moje śródstopie, a karzeł nie przestaje się szczyrzyć. Przypomina mi się „Życie jest snem”.

Za parę metrów dojdę na Rynek. Na ziemi coraz więcej krasnali. Uciekam od nich na złamanie karku. Pozostało mi tylko dziewięć zdrowych palców, a ich porzrzucanych po całym mieście jest ponad pięćset.

Wydaję z siebie odgłos „ach” i to nie z bólu, lecz z podziwu przed Rynkiem Głównym. Zaczyna się poprawiać. Według Google Maps muzeum znajduje się parę metrów od miejsca, w którym jestem. Otwieram link z Wikipedii, żeby dowiedzieć czym właściwie jest ten „Pan Tadeusz”.

*Pan Tadeusz to poemat epicki polskiego autora Adama Mickiewicza. Po raz pierwszy został opublikowany w Paryżu w czerwcu 1834, jest późnym przykładem tego gatunku w europejskiej literaturze. Jest również uważany za polski epos narodowy, który cały*

*czas czytany jest w szkołach.*

W objaśnieniu pojawiają się także pierwsze wersy dzieła:

*Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię  
stracił.*

Litwa? A nie byliśmy w Polsce? Nic nie rozumiem. Słucham za jednym razem wszystkich wyjaśnień z audioprzewodnika. Do wieku XIX, kiedy Mickiewicz napisał poemat, Polska i Litwa tworzyły Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Później podczas inwazji napoleońskiej powstaje Księstwo Warszawskie. Upadek cesarza, dwa narody są dzielone niczym ciasto, a jego porcje rozdane pomiędzy potęgi europejskie: Prusy, Rosję i Austrię. I jeśli to wydaje się wam złe, przyszłość była jeszcze gorsza. Polacy musieli czekać do roku 1989, aż runie pewien mur, żeby odzyskać swoją tożsamość, mimo że każdy kraj obok niej, wraz ze swoimi granicami ją miał.

„Pan Tadeusz” dzieje się w litewskim miasteczku - zlokalizowanym w części zdominowanej przez Rosję - Soplicowo - przez dziesięć dni. Poemat opowiada uniwersalną historię o niemożliwych miłościach i zwaśnionych rodzinach. Kapuleci i Montekowie zamieniają się w Sopliców, sprzymierzonych z Rosjanami i Horeszków, obrońców polskiej niepodległości. Bohaterski czyn, który pamięta szekspirowskie tragedie, zakotwiczony w czasie, który nie wróci, pożywiony porażką, urazą i tęsknotą.

Przemierzam każdy kąt i korytarz muzeum zakochany w tej ogromnej historii. W głowie powtarzam jedyne słowo, którego nauczyłem się po polsku - oprócz „piwa” - podczas tej podróży, „wolność. Tę, którą skradziono w 1812, którą deptali przez wiek, została wyniszczona przez nazistów i przetrzymywana w najmniejszych, najzimniejszych piwnicach komunizmu.

Zostawiam za sobą relikwie i obiekty, które traktują o poemacie i zagłębiam się w pomieszczenia, w których odtwarzano ujęcia z filmu najbardziej poważnego, polskiego, oprócz Polańskiego, reżysera - Andrzeja Wajdy. To on był tym, który zaadaptował „Pana Tadeusza” do kin u szczytu swojej kariery.

Trasa kończy się przypomnieniem o bohaterach, którzy walczyli przeciwko nazistom i Sowieciom podczas drugiej wojny światowej pod cieniem epoki komunistycznej dyktatury oraz chwalebny moment ludowej rewolty poprowadzonej przez związek zawodowy „Solidarność” Lecha Wałęsy.

Opuściłem muzeum z mieszanką szczęścia i goryczy. Uczucia, które tworzą część tego narodu, który cierpiał jak żaden inny, ale który sprawia wrażenie, że myśli już tylko o przeszłości.

Moje wnętrze dały mi chwilę wytchnienia. Nawet trochę zgłodniałem. Myślę o czymś lekkim na drugie śniadanie. Najpierw kupuję kuszący obwarzanek na ulicznym stanowisku, po czym idę dalej sprawdzać wytrzymałość mojego układu pokarmowego.

Po powrocie do hotelu wita mnie recepcjonista w różowych okularach. Robi to ze swoim pięknym uśmiechem. Pyta mnie czy poszedłem zobaczyć muzeum. Odpowiadam, że tak. Próbuję wyrecytować inwokację po polsku, po angielsku i w końcu po hiszpańsku, ale to jest katastrofa, w każdym z języków i nie rozumie mnie. Żegnaj się, ale zanim to robię, ośmieliłem się jej powiedzieć “I love your glasses”. To rozumie i uśmiecha się.

Dobrze, Polsko, gościsz przybysza!

[www.zendalibros.com](http://www.zendalibros.com), 15 czerwca 2019

Tłumaczenie z hiszpańskiego: **Karolina Kisiel**